

Pasja mimo choroby

Głównym powodem napisania niniejszego artykułu było zdobycie w listopadzie 2012 r. wyróżnienie w XIX edycji konkursu „Ze Śląskiem na Ty”. Osobą, która zainicjowała ten pomysł, był pan Gabriel Paduszyński, który po opublikowaniu przeze mnie na portalu społecznościowym informacji o tym, że zostałem laureatem konkursu napisał: „Robert, może wydrukujemy w »Mukowiscydozie«?”. Oczywiście mnie nie trzeba długo namawiać na takie pomysły. Jeszcze tego samego dnia wysłałem tekst pracy pani Małgorzacie Kaczmarek z propozycją napisania na ten temat artykułu.

Tym sposobem redakcja „Mukowiscydozy” zachęciła mnie do opisanie swoich pasji i zainteresowań, które przyczyniły się do wzięcia udziału w konkursie, na który wysłałem pracę pisaną gwarą śląską pt. *Drugeł wojna światoweł widzianeł oczuma mieszkańców Smolarni i Serwitutu* opowiadającą o wydarzeniach, jakie miały miejsce pod koniec wojny w 1945 r. w mojej miejscowości.

Ale zacznę może od początku, czyli od tego, skąd w ogóle pomysł na wzięcie udziału w tym konkursie? Przez ostatnich kilka lat interesowały mnie przeróżne rzeczy. Począwszy od projektowania stron internetowych, poprzez fotografię, a skończywszy (jak na razie) na... historii. Skąd to się wzięło? Wszystko zaczęło się w 2007 r., kiedy zobaczyłem u swojego



Pamiątkowe zdjęcie z gali wręczenia nagród (fot. Stanisław Błachowicz)

dziadka mapę z lat 30. XX w. przedstawiającą regulację dróg leśnych okolicznych lasów, które okalają moją miejscowość. Były to również czasy, kiedy zaczynała się moja przygoda z rowerem, dzięki czemu łączyłem przyjemne z pożytecznym. Przemierzając dukty leśne, porównywałem stan obecnych dróg z tymi sprzed 70 lat, które były na mapie.

Może nie każdy wie – ale mapy „mówią”. Trzeba tylko dobrze interpretować to, co chcą nam przekazać. Można z nich wyczytać bardzo dużo ciekawych informacji o przeszłości. I od tego się zaczęło. Zacząłem zadawać sobie pytania, interesowało mnie, dlaczego w danym miejscu wielkiego kompleksu leśnego, w którym się obecnie znajduję, nie ma nic, a na mapie sprzed 70 lat jest? Tu była leśniczówka – dlaczego jej teraz nie ma? Tam stał krzyż – z jakiej przyczyny został postawiony? Tam było ogrodzenie – a co było za nim? Itp., itd. W głowie rodziły się niepozorne na pierwszy rzut oka pytania, które były swego rodzaju katalizatorem do rozpoczęcia mojej przygody z lokalną historią.

Decydującym momentem była końcówka 2007 r., gdy w moje ręce wpadła monografia opisująca historię sąsiedniej miejscowości, w której autor opisał w dosłownie kilku zdaniach moją miejscowość, podając dokument z dokładną datą jej powstania, która, jak się okazuje – była datowana o 150 lat wcześniej, niż wymieniały to dotychczasowe źródła. Od autora książki dostałem również kserokopię mapy mojej miejscowości z 1758 r. i to wystarczyło, aby na dobre „zachorować” na historię.

Co było dalej? Z tego, co pamiętam, miałem proste założenie. Na kartce spisałem listę kilkunastu pytań dotyczących mojej miejscowości, na które chciałem uzyskać odpowiedzi. Pierwszą rozmowę przeprowadziłem

w lutym 2008 r. z 69-letnim wówczas mieszkańcem Smolarni. Po 4-godzinnej rozmowie oprócz odpowiedzi na kilka z moich pytań przywlokłem do domu album rodzinny rozmówcy ze starymi fotografiami.

Oprócz wieczornych wypadów do starszych sąsiadów trzeba było zacerpnąć nieco wiedzy z książek – choćby takiej ogólnej. Ale bardziej interesowały mnie książki opisujące historię mojej okolicy, które mogłyby mi w każdy, nawet najmniejszy sposób przybliżyć jakieś fakty historyczne dotyczące mojej miejscowości. Niech sobie nikt nie myśli, że było tak łatwo – takich książek jest bardzo mało.

W późniejszym czasie bardzo pomocne w poszukiwaniach okazały się biblioteki cyfrowe, które posiadają w swoich zbiorach setki starych książek i to bardzo ciekawych. Pierwsza bariera – drukowane, niemieckie, gotyckie pismo – ale z tym w przeciwieństwie do odręcznego pisma nie było większego problemu. Kilka dni i można samemu oswoić się z „nowym” alfabetem. Szkoda, że w tych książkach nie można wyszukiwać informacji tak, jak w wyszukiwarce internetowej: wpisujesz, klikasz i masz. W ich przypadku niezbędne jest przewertowanie choćby spisu treści, a potem konkretnego rozdziału w poszukiwaniu każdego interesującego szczegółu. Jedną z pierwszych pozycji, na którą się natknąłem, była prawie 1000-stronicowa książka pt. *Handbuch für die Provinz Schlesien* z 1876 r., w której znalazłem wzmianki o mojej i kilku sąsiednich miejscowościach. Z czasem nabrałem wprawy w wyszukiwaniu potrzebnych informacji.

Kolejne tygodnie i miesiące upływały pod znakiem rozmów, robienia notatek, zbierania zdjęć i dokumentów, szukania informacji w archiwach i mu-

zeach oraz przesiadywania godzinami nad stosami książek, kronikami i praktycznie każdą rzeczą, która mogła mi pomóc w osiągnięciu celu. W ciągu kilku lat „domowe” rozmowy z mieszkańcami (już nie tylko mojej miejscowości) przerodziły się w półprofesjonalne 2–3-godzinne wywiady, które za zgodą rozmówcy są nagrywane. Każde takie nagranie wymaga kolejnych 2 dni obróbki, włączając w to przerabianie samego nagrania audio, jak i sporządzenie opisu rozmowy, dokumentacji itp.

W całej tej pracy przydatne okazało się również zainteresowanie fotografią. O ile wcześniej często wychodziłem w teren fotografować krajobrazy i przyrodę, to teraz za pomocą aparatu fotograficznego mogłem fotografować choćby stare kroniki czy też materialne zbiory, które udało mi się pozyskać od osób trzecich.

Pod koniec 2010 r. okazało się, że wertowanie „papierów” już mi nie wystarcza. Potrzebowałem „dotknąć” historii, wziąć stare ciuchy, przebrać się i przeszukać ten i tamten budynek. Rzecz jasna mam na myśli opuszczone, niezamieszkałe od kilkudziesięciu lat domy, w których, jak się okazało, można odnaleźć bardzo dużo ciekawych i bezcennych pod względem informacji historycznej rzeczy.

Oczywiście wszystko z umiarem. Mam pewne zasady, których się trzymam. Przykładowo nigdy nie wchodzę do starych, zawilgoconych piwnic, które od kilkudziesięciu lat nie były wietrzone. Z góry zakładam, że można w nich złapać jakieś niewskazane świństwo, które może zaszkodzić mnie i moim płucom. Strychy odwiedzam w założonej na twarzy masce, aby ograniczyć ilość wdychanego pyłu i kurzu – czasami jest tego tyle, że aż strach się bać – ale ciekawość zawsze zwycięży i wchodzę tu i tam. Powyższych czynności nie wykonuję zimą, kiedy są duże mrozy, żeby nie ryzykować przeziębieniem się – no, chyba że mam

informacje, że naprawdę warto. Wtedy oczywiście bardzo ciepło się ubieram. Ostatnia moja zasada: nie chodzę na rozmowy do ludzi chorych i przeziębionych. Nie ma co ryzykować złapania czegokolwiek, co może mi zaszkodzić.

To, co widać na załączonych zdjęciach, z pozoru może wydawać się stertą papierów i nic nieznaczącymi śmieciami, szczególnie dla osoby niezajmującej się historią. Na pierwszy rzut oka tak też jest. Prawie każdy strych opuszczonego domu usiany jest tego typu rzeczami.

Warto chyba opisać, co się z tymi „śmieciami” dzieje w późniejszym czasie. Nigdy na miejscu nie przeglądam szczegółowo i nie robię selekcji tego, co znajdę – nie ma na to po prostu czasu. Wszystko, co mi wpadnie w ręce, zabieram do domu. Dopiero tam w domowym zaciszu (tzn. w garażu) sprawdzam rzeczy, które przywlokłem ze sobą. Szczegółowo przeglądam wszystkie papierki, oddzielam te najbardziej wartościowe od tych nic nieznaczących, które ostatecznie lądują z powrotem na strychu. Na kolejnym etapie prac wybrane dokumenty zostają oczyszczone z kurzu i brudu, niektóre z nich są jakby wyjęte prosto z kieszeni i trzeba je wyprasować. Potem przychodzi czas na skanowanie, a czasami na negocjacje z właścicielem odnośnie tego, czy bardziej wartościowe dla mnie rzeczy mogą sobie zostawić. Jeśli tak – to wszystko trafia do segregatora i spokojnie sobie spoczywa w moich zbiorach.

Co udaje się pozyskać? Przeróżne i bardzo ciekawe jak dla mnie materiały, z których „wyciągam” nowe fakty historyczne. Między innymi: świadectwa ukończenia miejscowych szkół podstawowych (najstarsze z 1909 r.), akty chrztów, zgonów i ślubów, portrety i zdjęcia przedstawiające mieszkańców (najstarsze z 1910 r.), listy z frontów II wojny światowej, dzięki którym moż-



Rzeczy, jakie można odnaleźć na strychach opuszczonych domów

na prześledzić służbę wojskową konkretnej osoby. A ponadto: pocztówki, książeczki wojskowe, dokumenty prywatne (najstarsze z 1866 r.), kościelne i archiwalne, rysunki techniczne zabudowań i wiele innych rzeczy, których – ze względu na ich ogromną liczbę – nie jestem w stanie wymienić. Do dnia dzisiejszego w formie elektronicznej posiadam około 1000 zdjęć i ponad 1100 różnego rodzaju dokumentów.

W tym momencie może kogoś zainteresuje, co się stało z moją listą kilkunastu pytań sprzed paru lat? Wedle przysłowia: „Im dalej w las, tym więcej drzew” – po latach okazało się, że praktycznie niemożliwe jest uzyskanie wyczerpującej i satysfakcjonującej odpowiedzi na postawione pytania. Mało tego, jest ich coraz więcej.

Oprócz historii interesuję się również genealogią, zarówno swojej rodziny, jak i mieszkańców mojej miejscowości. Dostęp do archiwaliów umożliwił mi odtworzenie jednej z gałęzi rodziny o ponad 250 lat wstecz, łącząc tym samym w całość 9 pokoleń, aż do mojego pra pra pra pra pra (5 x pra) dziadka. A najstarsze jak dotąd odnalezione wzmianki opisywanej gałęzi rodziny pochodzą z 1722 r.! Jak na razie dalsze poszukiwania wstrzymuje bariera natury technicznej – brak jest, niestety, dokumentów z wcześniejszych czasów.

Po co to wszystko?

Osoba czytająca powyższy tekst może zadać sobie jedno podstawowe



Segregacja znalezionych rzeczy

pytanie: „Po co on to wszystko robi”? Już odpowiadam. Po pierwsze dla własnej satysfakcji, że robi się coś pożytecznego, że poprzez takie zainteresowania odkrywa się nowe, nieodkryte i nieopisane dotąd rzeczy. O ile kiedyś na temat mojej miejscowości nie było praktycznie żadnych informacji i opracowań, to obecnie – po 5 latach wyętej pracy – jestem na etapie podsumowywania i pisania pierwszego (mam nadzieję, że będą kolejne) wydania monografii Smolarni pod roboczym tytułem *Smolarnia 1663–2013. Zarys dziejów miejscowości od powstania po współczesność*. To jest taka moja osobista satysfakcja.

Po drugie – moim zdaniem, posiadanie własnego hobby czy też zainteresowań ma swoje pozytywne skutki w odniesieniu do mukowiscydozy. Czas poświęcony na zajmowanie się swoimi pasjami pozwala choć na chwilę zapomnieć o chorobie. Chory, zamiast siedzieć beczynnie w domu i zamartwiać się problemami związanymi z chorobą, może zająć się czymś pożytecznym i czymś, co stanie się dla niego pewnego rodzaju odskocznią od codzienności i monotonii związanej z chorobą. Tak, aby w wolnych chwilach móc uciec od myśli, że jest się chorym.

Choć rzeczy, którymi się zajmuję, nie poprawiły mojego stanu zdrowia, który od kilku lat jest na tym samym „poziomie”, to zmieniło się nieco moje spojrzenie na samą chorobę. Teraz wiem, że pomimo mukowiscydozy można robić to, na co ma się ochotę, że można wiele

osiągnąć, a co najważniejsze – jeszcze więcej jest do zrobienia i osiągnięcia. Świadomość ogromu pracy, jaki mnie czeka, oraz świadomość tego, że czas działa na moją niekorzyść, sprawiają, że mam motywację do walki z chorobą i dbania o to, aby kolejny dzień był lepszy od poprzedniego.

Bo plany mam ambitne i żeby to wszystko zrealizować, potrzeba mi dużo zdrowia. Dlatego mimo choroby „zbieram się” w sobie, spinam pośladki i jeśli zdrowie na to pozwala, działam jeszcze intensywniej niż zwykle. Chyba czasami nawet bardziej niż moi zdrowi rówieśnicy.

Wracając do konkursu

Jak nazwa konkursu sugeruje, praca powinna być pisana gwarą. Jako że posługuję się nią na co dzień, napisanie tekstu nie sprawiło mi żadnych trudności. W pracy wykorzystałem również relację mojej babci Marii (1929–2010), która w 1945 r. w wieku 16 lat razem z innymi dziewczynami ze Smolarni została zaciągnięta do kopania rowów obronnych: „Mnie ani nie chcieli wejść, bo jeł była takeł chudeł. To tyn rus jak mie widzieł to padeł iż ech je za małeł. Ale nasza syłsiadka, to jeja cera musiała iść. To od niy matka szła powiedzieć, że jeł tyż sał je takeł co umiał iść. To potyn pu mie zajś nazetł przisli (...) To jeszcze było bez wojnał, bo jeszcze szczylali. Tał było kopano durch, rełz przy rajzie. (...) Zy mnył była Anna Pietruszkowa, a potyn od Bensza jedna była, ale tera nie wiał czy Lejna czy Krista (...) A to my tyż tak tał leżały jak świniy, my były zawszyny cały. Do jedzynia my miały kartelfly a mlyko. Obiadu my nie miały nic. To prawie na wieczór ty sztamfkartelfly. A mlyko to tał jeszcze Franzka Kołodziejowa nył dała, bo to miała krował w Prałżynie. A Berta Gyłsiorowa nył tał warzyła”. Tłumaczenie: „Mnie nawet nie chcieli wziąć, bo ja byłam drobną osobą. Rosyjski żołnierz widząc mnie, powiedział,

że jestem za mała. Ale sąsiadka, której córka musiała iść, powiedziała, że ja też jestem z tych dziewczyn, które mogą iść. To potem przisli po mnie z powrotem (...) ze mną była Anna Pietruszka (*Anna Pietruschka*) i od Bensza (*Bensch*) jedna była, ale teraz nie wiem czy Helela (*Helene*) czy Krystyna (*Christine*) (...) leżałyśmy tam jak świni, byłyśmy całe zawszone. Do jedzenia miałyśmy tylko ziemniaki i mleko. Obiadu nie było. Jedynie wieczorem te tłuczone ziemniaki. A mleko to nam dała Franciszka Kołodziej (*Franziska Kolodziej*), bo ona miała krowę w Prężynie. A Berta Gonsior (*Bertha Gonior*) nam tam gotowała”.

Rok 1945, w którym babcia przeżyła opisane przeze mnie wydarzenie, był o tyle trudny, że niespełna pół roku wcześniej jeden z jej braci zginął na wojnie w czołgu podczas walki pancernej, ojciec od ponad dwóch lat nie dawał znaku życia (ostatni list wysłany przez niego do domu pochodzi z 13.01.1943 r.), a drugi brat został w tym czasie zaciągnięty do wojska. Z pewnością nie był to dla niej łatwy czas.

Ponadto powyższa wypowiedź jest dla mnie o tyle znacząca, gdyż jej fragment pochodzi zaledwie kilkuminutowego nagrania, które udało mi się zrobić za życia babci. Tych kilka minut w porównaniu z dwugodzinnymi nagraniami, które teraz realizuję, jest dla mnie niezwykle cenną pamiątką.

Zamiast zakończenia

Pytanie – czym różni się mukowiscydoza od historii? Tą pierwszą nie można się zarazić od innej osoby, natomiast tą drugą tak – i to bardzo szybko. A co łączy te dwa pojęcia? Jednej i drugiej nie można wyleczyć. Tym krótkim podsumowaniem zakończę rozważania na temat swojej pasji, o której mógłbym pisać w nieskończoność... Tylko nie wiem, co na to redakcja „Mukowiscydozy” ©.

Robert Hellfeier